

WIADOMOŚCI MISYJNE

INFORMATOR SEKRETARIATU MISYJNEGO ZGROMADZENIA
KSIĘŻY MISJONARZY

Nr 15 (1)2010



Drodzy Przyjaciele Misji

Oddając do Waszych rąk kolejne «Wiadomości Misyjne» pragniemy złożyć wszystkim najlepsze życzenia na rozpoczynający się rok 2010. Bożonarodzeniowy czas przypomina nam, że «Ukazała się łaska Boga, która niesie zbawienie wszystkim ludziom» (Tt 2,11). Narodzony z Maryi Dziewicy Syn Boży niesie zbawienie całemu światu. Nadal jednak "nie widzimy jeszcze, aby wszystko było Mu poddane" (Hbr 2, 8)". Tym wszystkim, którzy kochają misję i pragną przyczynić się do rozkrzewiania wiary życzymy umocnienia w wierze, nadziei i miłości, sił fizycznych i duchowych, satysfakcji i prawdziwej radości, że dzięki naszym modlitwom i ofiarom Bóg staje się wszystkim we wszystkich.

«Bądźmy świadkami miłości» – to główne hasło programu duszpasterskiego 2009/2010. Program ten obejmuje także rozbudzenie na nowo dynamizmu misyjnego i ukazanie ewangelizacji jako podstawowego zadania Ludu Bożego. Zbawcza miłość Boga obejmuje wszystkich ludzi. Miłość chrześcijańska jest głęboko zakorzeniona w miłości Boga i ją objawia. Miłość dzieli się dobrem, którego jest się posiadaczem. Miłość nie pozostaje obojętna na potrzeby drugiego człowieka, ale spieszy mu z pomocą. Papież Paweł VI powiedział: «Nie można sobie wyobrazić rodziny, w której jedni jej członkowie głodują, a inni opływają we wszystko; w której jedni żyją wystawieni na wiatr i zimno, a inni mieszkają w wygodnych domach; w której jedni nigdy nie słyszeli o Jezusie Chrystusie, a inni mają pod ręką wszystkie środki zbawienia, które Kościół posiada. Jeśli cała ludzkość tworzy jedną rodzinę, braterska miłość zobowiązuje nas do pojednania z braćmi wszystkich ras, języków, kultur i warunków życia» (Orędzie misyjne 1974).

Sekretariat Misyjny Zgromadzenia Księży Misjonarzy

ul. Stradomska 4
31-058 Kraków
tel.: (12) 422 88 77 wew. 305
sekretariatmisyjny@misjonarze.pl



Redakcja:
ks. Stanisław Deszcz
Agata Gruzła
kl. Jacek Międlar
www.adgentes.misjonarze.pl

Mamy nadzieję, że przybliżając Wam problematykę misji przyczynimy się do ożywienia ducha misyjnego, abyśmy wszyscy, wspierając dzieło misyjne naszymi modlitwami i ofiarami, stali się prawdziwymi świadkami miłości.



W naszych «Wiadomościach» znajdziemy między innymi:

- Wywiad z Księdzem Stanisławem Wnukiem i Księdzem Józefem Klatką, długoletnimi misjonarzami na Madagaskarze. Nasi misjonarze na Czerwonej Wyspie będą obchodzić w tym roku 40-lecie pracy misyjnej. Chcielibyśmy w tym roku, dzieląc z nimi radość uczestniczenia w ewangelizacji Malgaszów, wesprzeć w sposób szczególny sześcioro misjonarzy, którzy kontynuują z zapalem dzieło misyjne.
- List z Chin (jaka szkoda, że nie możemy publikować wszystkiego co pragnęlibyśmy na temat pracy misyjnej w tym kraju).
- List Księdza Włodzimierza Małoty z Papui Nowej Gwineji, który z prawdziwym entuzjazmem młodego misjonarza stara się przywrócić do życia rozległą parafię pozbawioną kapłana przez 20 lat.
- Wiadomości z działalności Kół Misyjnych, które zechciały podzielić się z nami swoją działalnością. Bardzo pragniemy, aby takie wiadomości mogły ukazywać się w każdym numerze naszych «Wiadomości». Dlatego zachęcamy wszystkich opiekunów i animatorów Kół Misyjnych do dzielenia się z innymi na łamach naszego pisma swoim doświadczeniem i osiągnięciami we współpracy misyjnej.

W imieniu naszych misjonarzy oraz sekretariatu misyjnego pragnę serdecznie podziękować wszystkim za modlitwy ofiarowane w intencji naszych misjonarzy i tych, wśród których pełnią misyjną posługę, jak również za ofiary materialne przesłane przez pośrednictwo sekretariatu czy złożone bezpośrednio misjonarzom podczas ich pobytu w Ojczyźnie. Dziękuję serdecznie Ofiarodawcom indywidualnym, Kołom Misyjnym oraz Proboszczom Parafii, którzy zorganizowali w swoich Parafiach niedziele misyjne z udziałem naszych misjonarzy.

*Ks. Stanisław Deszcz CM
Dyrektor Sekretariatu Misyjnego*

MISJA MALGASKA



W 2009 roku gościliśmy w Polsce księży Stanisława Wnuka i Józefa Klatkę – misjonarzy na Madagaskarze. Ks. Stanisław wyjechał na Madagaskar w 1972 roku, a ks. Józef w 1975 roku. Należą do pierwszych i naj-

dłużej pracujących polskich misjonarzy na Czerwonej Wyspie. Kleryk Jacek Międlar przeprowadził z nimi wywiad, który przybliży nam pracę misjonarzy, życie Malgaszy oraz rozwój Kościoła i Zgromadzenia Księża Misjonarzy na Madagaskarze.

Kl. Jacek Międlar – *Minęło prawie 40 lat od kiedy Księża wyjechali na Madagaskar. Jak Księża wspominają pierwsze kroki stawiane na Czerwonej Wyspie?*

Ks. Stanisław Wnuk – Pierwsze kroki na misjach były dla nas dosyć ciężkie, dlatego że w momencie przyjazdu nie znaliśmy ani kultury ani sytuacji, w jakiej znajduje się ludność Madagaskaru. Wiele zawdzięczamy miejscowemu biskupowi, który opierając się na swoim doświadczeniu, przedstawił nam najistotniejsze kwestie kierowania ogromną parafią malgaską. To był etap początkowy, który całkiem inaczej wyglądał w porównaniu z posługą obecną. Liczba kaplic, parafii, a przede wszystkim chrześcijan była bardzo mała. Nasza misja była typową misją *ad gentes*, dlatego zaczynaliśmy naszą działalność od budowania fundamentów, co nie było prostym zadaniem.

JM – *W latach 70. Madagaskar był niepodległym państwem zaledwie od 10 lat. Jaki był stosunek ówczesnych władz i ludności do działalności Kościoła katolickiego, a przede wszystkim europejskich misjonarzy?*

Ks. Józef Klatka – Gdy na Madagaskar przyjechał ks. Stanisław miał miejsce przewrót, w czasie którego został zabity ówczesny prezydent i zaczął panować Didier Ratsiraka. Kiedy ja przyleciałem na Mada-

gaskar, po licznych trudnościach z uzyskaniem paszportu, poczułem się pierwszy raz człowiekiem wolnym. Na Madagaskarze, w przeciwieństwie do Polski Ludowej, panowała wolność słowa, można było mówić wszystko na temat prezydenta i sposobu sprawowania władzy, natomiast w Polsce za wypowiedziane przeze mnie nieprzyjemne komunistom słowa, byłem wzywany od razu na komendę. Zdecydowanie wyjazd na misję był dla mnie pod tym względem wyzwoleniem.

SW – Malgaszę w żadnym wypadku nie bali się, ani nie odczuwali niechęci przed europejskimi misjonarzami. Należy rozróżnić kolonizatorów od misjonarzy. Podejście do europejskich przedstawicieli Kościoła było bardzo pozytywne.

JM – *Na Madagaskar wyjechała spora grupa misjonarzy. Wielu z nich wycofało się z pracy misyjnej. Co było powodem?*

SW – W diecezji Fort Dauphin coraz większa liczba miejscowych księży obejmowała prowadzone przez nas placówki, co zmuszało nas do sukcesywnego usuwania się z tych terenów. Po drugie, wielu misjonarzy wyjechało ze względów zdrowotnych.

JK – Niektórzy misjonarze byli zszokowani zachowaniem nowych księży malgaskich, którzy otwarcie dawali nam do zrozumienia, żebyśmy wyjechali. Paru z nas z tego powodu opuściło misję, natomiast my zostaliśmy, ponieważ przekonano nas, że jeszcze długo będziemy potrzebni.

JM – *Do charyzmatu Księży Misjonarzy należy również formacja kleru na wszystkich jej etapach. Jak wyglądała formacja w seminarium 40 lat temu, a jak wygląda teraz? I z jakich środowisk wywodzą się młodzi kandydaci do kapłaństwa?*

SW – 40 lat temu w diecezji Fort Dauphin znajdowało się małe seminarium założone przez hiszpańskich księży. Obecnie ks. Benolo, jeden z pierwszych seminarzystów, jest naszym Wizytatorem. Później zostało ono przeniesione do Farafangany, gdzie dyrektorem był ks. Hubert. Duża grupa kandydatów wywodziła się z buszu, byli oni przysyłani do seminarium pod protekcją proboszcza. Wyższe seminarium znajdowało się w Ambatoluka w Annarynie. Obecnie Zgromadzenie Księży Misjonarzy i księża diecezjalni prowadzą osobne seminaria. Małe seminarium mamy w Entonranculle, gdzie kształcimy 60 chłopców. Seminarium Internum znajduje się w domu prowincjalnym Sainte Louise de Marillac. Liczba powołań jest zadowalająca. W tym roku Semina-

rium Internum zakończyło 12 seminarzystów. Są oni następnie kierowani do Wyższego Seminarium Duchownego w Etranculle. Powołań na Madagaskarze jest obecnie więcej niż w polskiej prowincji. Pełna formacja seminaryjna trwa około 9 lat.

JM – *Jak wygląda obecny stan wykształcenia kandydatów zgłaszających się do seminarium?*

JK – W parafii Manantenina jest obecnie 30 szkół zorganizowanych w buszu, na miejscu mamy małe gimnazjum, a następnie wysyłamy uczniów do Braci Serca Jezusowego, do 4-letniego liceum, aby zdali maturę i uzyskali średnie wykształcenie. Spośród tych, którzy przeszli taki cykl nauki będzie wyświęcony niebawem nasz wychowanek malgaski ks. Herman – lazarysta.

JM – *Madagaskar, jako państwo znajdujące się w strefie klimatu zwrotnikowego, narażone jest na rozprzestrzenianie się licznych chorób, co może prowadzić do rozwoju epidemii. Jak w tej kwestii działa malgaska służba zdrowia i jak z takim niebezpieczeństwem radzą sobie misjonarze?*

JK – W przeciągu swojego pobytu na Madagaskarze doświadczyłem w swoim środowisku epidemii cholery, która zdecydowanie podwyższyła wskaźnik umieralności. Dur brzuszny oraz malaria są chorobami bardzo często występującymi, na które choruje niemal każdy.

SW – Malaria zabiera młode osoby, a szczególnie dzieci do 3 lat. Nawet dorośli umierają na tę chorobę, w przypadku nie zażywania zalecanych lekarstw antymalarycznych.

JK – Służba zdrowia stoi czasami na zerowym poziomie. Odległości pomiędzy miejscami zamieszkania a przychodnią nieraz oscylują w granicach paruset kilometrów. Aktualnie w Niegowici organizujemy Parafiadę, podczas której będziemy zbierać pieniądze na odbudowę szpitali, zakup potrzebnych lekarstw i podstawowej aparatury. W przeciągu mojej pracy misyjnej na Madagaskarze udało się zorganizować punkty wydawania lekarstw.

SW – My znajdujemy się w okręgu Mananteniny, gdzie służba zdrowia znajduje się na bardzo niskim poziomie. Niedawno wybudowano szpital, w którym albo brakuje lekarza, albo potrzebnych lekarstw. Natomiast w Ranamafanie jest dostateczna liczba szpitali, przy-

chodni i punktów wydawania leków. Ogólnie rzecz biorąc, szpitali jest dość dużo, ale brakuje lekarzy i lekarstw, które są bardzo drogie.

JM – *Przez wiele osób Madagaskar jest kojarzony z bł. o. Janem Beyzymem – ojcem trędowatych. Jak wygląda duszpasterstwo wśród ludzi dotkniętych trędem?*

SW – Na Wyspie prowadzone są dwa miasteczka dla trędowatych. Jedno znajduje się w Maranatan, tam gdzie pracował bł. o. Jan Beyzym, a drugie w Elenie, które prowadzone jest przez Zakon Ojców Kamilianów.

JK – Powszechnie wiadomo, że ta choroba jest wyleczalna, jeżeli wykryje się ją w odpowiednim czasie i stosuje lekarstwa, o które nieraz jest bardzo trudno. Jeżeli pojawiają się ubytki na ciele, wtedy zazwyczaj konieczna jest amputacja.

JM – *Mówi się, że w większości krajów afrykańskich duża umieralność spowodowana jest głodem. Jak ta sprawa ma się na Madagaskarze?*

JK – Kiedy przychodzi okres suszy, wtedy głód rzeczywiście zaczyna doskwierać. W latach dziewięćdziesiątych w Ombosai bardzo duża ilość osób umierała z głodu, ponieważ prawie przez 3 lata nie padał deszcz. Wyniszczenia spowodowane atakami szarańczy i powodziami również doprowadzają do zwiększenia umieralności spowodowanej głodem. Na szczęście dzięki naszej interwencji organizacje międzynarodowe zajęły się pomocą w tym względzie.

JM – *Według najnowszych danych statystycznych 25% ludności to zadeklarowani katolicy. Jak ta liczba zmieniała się na przestrzeni lat pobytu Księża na misjach?*

SW – Zaobserwowałem zdecydowany wzrost liczby chrześcijan. Natomiast frekwencja na poszczególnych terenach jest bardzo różna. Niekiedy pobożność jest bardzo duża, a niekiedy odsetek wyznawców praktykujących jest bardzo mały.

JK – W kościołach można dostrzec przewagę dzieci i młodzieży. Coraz więcej dorosłych ludzi decyduje się na małżeństwo, a nie da się ukryć, że dzieci i młodzież przyciągają swoich rodziców do Kościoła. Na południu Wyspy, samych katolików i protestantów jest około 13%, na Wyżynie Malgaskiej ta liczba sięga nieraz 50%.

JM – *Czy poligamia jest powszechna wśród plemion malgaskich? Czy jest dużą przeszkodą do przyjęcia Chrztu?*

JK – Tam gdzie pracowałem, w terenie Tandzui, jest dużo więcej kobiet, aniżeli mężczyzn. Małżeństwa są tam zawierane, żeby mieć dzieci. Kiedy kobieta nie może rodzić, bądź za mało potomstwa urodziła, wtedy mężczyzna bierze sobie następną żonę. Tandzui nie odrzucają pierwszej żony, zachowują ją, a kolejna też rodzi dzieci; wszyscy mieszkają w jednym domu i czują się jak w rodzinie. Na terenach Tanuszi mężczyzna starą żonę odsyła do rodziców i tak postępuje z kolejnymi. Nieraz ponad 70-letni mężczyzna bierze sobie 20-letnią dziewczynę za żonę.

SW – Na szczęście takie sytuacje nie należą do najczęstszych i głównie występują w plemieniu Tandzui. Sytuacje, kiedy mężczyzna posiada już przynajmniej dwie żony są bardzo dużymi przeszkodami uniemożliwiającymi życie sakramentalne, dla Malgaszów jest to nieraz niemożliwe do przezwyciężenia.

JM – *Czy Madagaskar dotknięty jest chorobą AIDS?*

SW – Porównując odsetek zachorowalności na AIDS na Madagaskarze z innymi krajami przodującymi w tym niechlubnym rankingu, Czerwona Wyspa nie jest aż tak bardzo dotknięta tą plagą. Tak przynajmniej wynika z oficjalnych danych statystycznych. Te wyniki nas bardzo cieszą, mamy za co Panu Bogu dziękować.

JM – *Jan Paweł II w encyklice „Redemptoris Missio” napisał, że główną motywacją wyjazdu na misje zagraniczne powinna być miłość. Jak Księża z tak dużym doświadczeniem odniosą się do słów papieża?*

JK – Kiedyś bp Zevaco powiedział mi: „Kiedy czujesz, że nie kochasz tych ludzi to wyjeżdżaj!”. Kiedy człowiek zaczyna się zniechęcać do ludzi, kiedy jest u skraju cierpliwości, to brakuje mu potrzebnej energii do pracy. Czujemy się im potrzebni, a oni oczekują naszego powrotu, kiedy wyjeżdżamy. Bez misjonarzy brakuje pracy, edukacji, opieki zdrowotnej i głosicieli Chrystusa. Nawzajem jesteśmy sobie potrzebni.

SW – Nie wyobrażam sobie wyjazdu na misję bez miłości. Jest ona podstawowym motorem do ewangelizacji. Dłuższy pobyt na misjach pozbawiony miłości jest niemożliwy. Życie i przeżywanie

z ludźmi biedy, cierpienia i radości w połączeniu z wiarą w Chrystusa jest przepelnione miłością do Boga i drugiego człowieka.

JM – Zrodziła się kiedyś u Księży chęć powrotu do Polski?

JK – Kiedy zapanowała epidemia duru brzuszego, byłem tak osłabiony, że nie wiedziałem czy jeszcze jest sens, abym na misji pozostał. Obecnie jestem już 3 miesiące w Polsce i odczuwam wielką potrzebę powrotu na Madagaskar. Nie da się ukryć, że zapuściliśmy tam korzenie, żyjemy tą kulturą, tym środowiskiem i panującą tam atmosferą, dlatego ciężko wyjeżdżać na dłużej.

JM – Warto wyjeżdżać na misje?

SW i JK – Zdecydowanie TAK!



Księża Józef Klatka i Stanisław Wnuk
podczas pobytu w Krakowie w 2009 r.

„Polski Kościół” w Chinach

Czekałem na tę wyprawę parę lat, aż wreszcie nadarzyła się okazja. Wyjazd do Chin to niemałe przeżycie, zwłaszcza, gdy celem wyprawy jest dotarcie do miejsc, w których kiedyś pracowali Misjonarze-Polacy. Artykuł ten jest opisem tego, co zobaczyłem i usłyszałem (wierzę, że tłumaczenie z chińskiego było wiarygodne, gdyż wszystko, co mi opowiedziano łączyło się w jedną logiczną i spójną całość).



Po dotarciu do Chin wraz z moim „lokalnym przewodnikiem” czekaliśmy kilka dni na telefon, którym miano nas powiadomić jak i dokąd mamy się udać. Zgodnie z tym planem kupiliśmy bilety i wsiedliśmy do pociągu. Po paru godzinach jazdy dojechaliśmy na miejsce. Była to mała miejscowość, więc wysiadających nie było wielu. Na progu stacji kolejowej czekała na nas parafianka. Podprowadziła nas parędziesiąt kroków poza plac dworcowy i dopiero tam podszedł do nas kapłan-Chińczyk, który zaprosił nas do siebie w odwiedzinę. Natychmiast wsiedliśmy do taksówki i pojechaliśmy do ... szpitala, a właściwie na parking przy szpitalu, gdzie czekał na nas samochód, rozmiarami zbliżony do Fiata 126p – „Malucha”. Zorientowałem się, że jest to tylko „punkt przerzutowy”, gdzie towarem byłem ja sam. Dopiero po wyjechaniu z miasta, ksiądz-gospodarz przedstawił nam naszego kierowcę, wówczas okazało się, że był on także kapłanem.

Księża, z którymi miałem się spotkać w czasie mojej wizyty, należą do duchowieństwa Kościoła rzymskokatolickiego niezarejestrowanego przez rząd chiński, a potocznie nazywanego „podziemnym” (nielegalnym). Stąd tyle starań, abyśmy – ani oni sami, ani ja, „długonosi” obcokrajowiec – nie przyciągali zbyt wiele uwagi. Mieliśmy przed sobą jeszcze ponad godzinę jazdy, w czasie której dwaj kapłani dyskutowali między sobą, jaką drogą jechać, aby było i szybko, i bezpiecznie.

Podczas jazdy ksiądz-kierowca stale spoglądał we wsteczne lusterka, a gdy coś budziło w nim podejrzenie zwalniał, aby samochód jadący za nami musiał nas wyprzedzić. Wszystko przebiegało tak normalnie i spokojnie, że nawet pomyślałem sobie, iż wcale nie jest tak źle jak o tym słyszałem z opowiadań innych gości obcokrajowców, którzy odwiedzając te same strony musieli kryć głowę za siedzeniem samochodu albo przykrywać się kocem. Jak gdyby w odpowiedzi na moje refleksje księży opowiedzieli mi historię, która niedawno im się przydarzyła. Pewien kapłan-gość, który tak jak ja przybył z krótką wizytą, był śledzony począwszy od dworca kolejowego, aż do mieszkania parafian, gdzie miał nocować. Tylko dzięki temu, iż wieczorem księży wyszli na posiłek do restauracji udało im się uniknąć przykrości. Policjanci w cywilu, którzy zjawili się wieczorem w mieszkaniu, nie zastali ani jego, ani innych księży, a parafianie zdążyli ich uprzedzić telefonicznie, aby nie wracali do domu. Ksiądz-gość pospiesznie opuścił tę miejscowość i zatrzymał się w hotelu. Następnego dnia jego rzeczy osobiste, które zostawił na kwaterze wysłano mu do hotelu, w którym zamieszkał. Księża-gospodarze doszli później do wniosku, że ich rozmowa telefoniczna z kapłanem-gościem została podsłuchana, gdyż policja wiedziała, jakim pociągiem i o której godzinie miał przyjechać. Morał tej historii był prosty: ostrożności nigdy za wiele! Przy tej okazji, nasz ksiądz-gospodarz zwrócił nam uwagę, abysmy wyłączyli telefony komórkowe, o ile takie posiadamy, bo policja może sprawdzić położenie swoich „podopiecznych”, śledząc sygnał wysyłany z telefonów.

Kiedy zajechaliśmy na miejsce (nazwę miejscowości pominę) był już wieczór, co bardzo nam odpowiadało, bo w ciemności i w wyludnionej po zmroku okolicy, mogliśmy czuć się pewnie. Znajdowaliśmy się na małym osiedlu domków jednorodzinnych, a budynek, w którym zatrzymaliśmy się na noc, należał do jednej z zamożniejszych rodzin katolickich. Właściciel domu, który nas u siebie gościł, był urzędnikiem państwowym na szczeblu powiatowym. Tam też poznałem czekającego na nas trzeciego kapłana, który przyjechał na nasze spotkanie z bardzo daleka.

Dom był nowy i nowoczesny, a także duży i przestronny, gdyż jak się okazało rodzina gospodarzy była znacznie liczniejsza niż zwykle się to w Chinach zdarza. Składała się z sześciu osób: Pan Bóg pobłogosławił rodziców czterema córkami! Dwie córki, córki

„druga” i „trzecia” (mówiąc o potomstwie Chińczycy często posługują się numerami) urodziły się jako bliźniaczki, a najmłodsza, córka „czwarta”, miała być chłopcem, bo w wypadkach, gdy nie ma męskiego potomka, urzędy skore są do wydania zgody na kolejne dziecko – „na chłopca”. W przypadku rodziny naszych gospodarzy z tym czwartym dzieckiem chyba musiało dojść do kompromisu z władzami, bo mimo wszystko za czwartą córkę rodzice musieli „zapłacić” państwu karę w wysokości 8000 RMB (ok. 4000 zł). Trzeba jednak zaznaczyć, że takie przykłady wielodzietnych rodzin wśród Chińczyków Han zdarzają się tylko na wsi lub prowincji.

Po kolacji do mieszkania przyszło jeszcze kilku innych parafian, a pokój gościnny na parterze w mgnieniu oka zamienił się w „kaplicę”, w której miała być sprawowana Msza św. Na telewizorze postawiono bardzo duży obraz przedstawiający Niepokalane Serce Najświętszej Maryi Panny, przed telewizorem natomiast ustawiono wysoki stół, który posłużył jako ołtarz. Po zapaleniu ozdobnych światełek na regale, na którym stał telewizor, całość prezentowała się wspaniale zwłaszcza, że podświetlone szklane półki ukazały jeszcze więcej świętych obrazów Pana Jezusa oraz Papieża Benedykta XVI. Ksiądz „kierowca”, który przywiózł naczynia liturgiczne i przewodniczył Eucharystii tego wieczoru – jak mi powiedział – odprawia Msze św. tylko i wyłącznie w domach parafian, gdyż większość jego wspólnot parafialnych nie ma swoich kościołów, a zaczęłą budowę pierwszego z nich musiano przerwać z powodu braku funduszy. W czasie Mszy św. zauważyłem, że kapłani stoją wokół stołu-ołtarza twarzą do regału, a plecami do zgromadzonych wiernych. Ja starałem się jakoś balansować pomiędzy jednymi i drugimi, stojąc bokiem. Drugim szczegółem, który przykuł moją uwagę, były głębokie pokłony, powiedziałbym „do ziemi”, w czasie najważniejszych momentów Liturgii Ofiary. Ukłony wykonywane bardzo powoli i z namaszczeniem, rzeczywiście wyglądały majestatycznie, ukazując z jednej strony autentyczną pobożność prostego ludu, a z drugiej strony, doskonale wyrażając to, co bym określił „chińską duszą” (jeżeli komuś cokolwiek to mówi). W świecie zachodnim ten rodzaj pokłonów zniknął z kościołów i kaplic wraz z reformą liturgiczną II Soboru Watykańskiego.

Po Mszy św. czas upłynął nam na rozmowie z rodziną gospodarzy oraz robieniu wspólnych zdjęć, po czym wszyscy się roze-

szli, włączając cztery córki naszych dobrodziejów, zostawiając duchownym całe piętro do swojej dyspozycji. Oto prawdziwa gościnność Chińczyków!

Wieczorem tego dnia przeczytałem sobie do snu fragment z notatnika bp. Albina Małysiaka ze Zgromadzenia Księża Misjonarzy, z którego wielu kolegów kleryków, a później kapłanów wyjechało przed II wojną światową na misje do Chin. Oto jak Ksiądz Biskup wspomina tamte lata:

W latach trzydziestych ubiegłego stulecia polscy Księża Misjonarze wysłali do Chin ponad 34 kapłanów. Kiedy francuscy misjonarze opuścili w Chinach dwie placówki misyjne, mianowicie w Shunteh i Wen Chow, prefekt Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, za wiedzą Ojca Świętego Piusa XI, zasugerował wizytatorowi, ks. Józefowi Kryscie, by wysłał tam swoich kapłanów. Ksiądz wizytator, najwierniejszy syn Stolicy Apostolskiej, oczywiście uczynił temu życzeniu zadość. Wyjeżdżający na misje do Chin byli dla nas prawdziwymi bohaterami. Patrzyliśmy na nich z największym szacunkiem i podziwem (...)



4 XI 1929 r. Pierwsza grupa misjonarzy, którzy wyjechali do Chin.
Siedzą od lewej: ks. Antoni Górski, ks. Ignacy Krauze,
br. Stanisław Fedzin; *w II rzędzie:* kl. Stanisław Kotliński,
kl. Franciszek Stawarski, kl. Waław Czapla

Praca w obu placówkach rozwijała się coraz lepiej. Niestety, w kilka lat po II wojnie światowej (1949 r.) władzę w Chinach zdobyli komuniści. (...) Opanowanie Chin przez komunistów odbywało się w krwawy sposób. Nasi księża, jako Europejczycy i misjonarze, zostali aresztowani i skazani na śmierć. Jakoś szybko ta wiadomość dotarła do Krakowa, do wizytatora ks. Józefa Kryski. Porozumiał się on z proboszczem obecnej bazyliki Świętego Krzyża w Warszawie. Ten znał panią X, dobrą katoliczkę, która pracowała w sekretariacie Bolesława Bieruta. Komuniści u nas na początku przyjmowali do mniej ważnych prac nawet ludzi wierzących, bo nie mieli jeszcze wszystkich pracowników wychowanych w duchu socjalizmu. Pani X poprosiła odpowiednich ludzi i nastąpiła interwencja z kancelarii Bieruta do ambasady chińskiej, by polscy misjonarze zostali uwolnieni. Ambasadę chińską w Warszawie utworzono niewiele wcześniej i zapewne nie mieli jeszcze w niej dużo pracy, więc natychmiast wykonane zostały telefony do Pekinu, by polscy misjonarze odzyskali wolność. Z Pekinu poszły rozkazy z kolei do tych miejscowości, gdzie byli nasi księża.

Rozkaz ten dotarł również do miejscowości, gdzie pracował ks. Kazimierz Skowyra, krakowianin. (...) Podczas opisywanych wydarzeń miejscowi działacze komunistyczni zaplanowali dla niego okrutną śmierć. Ustawili poprzeczkę, na której miał zawisnąć misjonarz, a pod nim polana drewna, które należało zapalić, by wiszący powyżej męczył się zanim skona. Brakowało minuty czy dwóch, by drewna zapalono. Ale wtem dojechał na koniu urzędnik z odpowiednim pismem, że misjonarz Skowyra ma być zwolniony. Inni nasi misjonarze też zostali uwolnieni. Jedni udali się do USA, inni do Brazylii, wreszcie inni do Polski, a wśród nich ks. Skowyra, który nam swoją historię opowiadał.

W tym miejscu kończy się cytat ze wspomnień bp. Małysiaka.

Następny dzień rozpoczął się Mszą św., w której znowu uczestniczyła cała rodzina. Na moje pytanie czy się nie boją, że głośne śpiewy w czasie Eucharystii przyciągną uwagę sąsiadów, żona gospodarza odparła, że to są „swoi ludzie” i nie ma obawy, aby komuś coś donieśli. Całe przedpołudnie wypytywałem chińskich duchownych na tematy związane z ich życiem i posługiwaniem, i wówczas dowiedziałem się, że kapłani Kościoła „nieoficjalnego”, jeżeli chcą kontynuować pracę duszpasterską legalnie muszą zgłosić się do

władz, przejść paromiesięczny kurs organizowany przez wydział do spraw wyznań i w końcu ... najlepiej ... aby zapisali się do Stowarzyszenia Patriotycznego (organizacja założona przez władze komunistyczne, która nigdy nie została uznana przez Stolicę Apostolską). Później, jako świadectwo ukończenia kursu otrzymują legitymacje kapłańskie, a ich nazwiska zostają wprowadzone na oficjalną listę duchowieństwa Kościoła Katolickiego Chińskiej Republiki Ludowej. Od tego momentu nie mogą czynić już nic „niewłaściwego”. Z drugiej jednak strony nie oznacza to, że muszą współpracować z władzami w sensie zdrady interesów Kościoła czy wbrew własnemu sumieniu, chociaż bardzo często jest to niezmiernie trudne do uniknięcia.

Spośród tych, którzy „przechodzą” (decydują się na taką współpracę), małą liczbę stanowią albo osoby naiwne, albo szukające korzyści osobistych, płynących z kroczenia ramię w ramię z ludźmi władzy i Partii. Ogromna bowiem większość duchowieństwa zgadzającego się na rejestrację czyni to tylko ze względu na „dobro i przyszłość Kościoła” (o ile ich parafianie zgodzą się taki wybór zaakceptować). Zauważono bowiem, iż działanie „w partyzantce” nie jest w stanie zaspokoić potrzeb religijnych rozwijającego się Kościoła, zwłaszcza potrzeb duchowych młodego pokolenia Chińczyków, jak również prowadzenia dzieł charytatywnych Kościoła czy działalności społecznej i edukacyjnej. Aby uniknąć marginalizacji wiernych w społeczeństwie chińskim wielu gorliwych kapłanów Kościoła „podziemnego” legalizuje swoją przynależność do Kościoła „oficjalnego” na papierze, nie zmieniając zupełnie ani swych przekonań, ani rodzaju pracy duszpasterskiej. Niemniej, nie powinniśmy przypuszczać, że takie posunięcie daje im całkowitą wolność lub swobodę działania. Coś takiego, jak „wolność religijna” w znaczeniu w jakim to wyrażenie funkcjonuje na Zachodzie, w Chinach po prostu nie istnieje. Owszem, Kościół „oficjalny” nie jest prześladowany tak jak Kościół „podziemny”, niemniej jest kontrolowany i ograniczany do stopnia jaki się władzy lokalnej podoba.

Okazuje się więc, że w praktyce wszystko zależy nie od polityki Rządu Centralnego Chin, ale od tego, jaka osoba siedzi za biurkiem miejscowego urzędu do spraw wyznań. Tam, gdzie przedstawiciele władzy są ludźmi światłymi, zatroskanymi o dobro swego społeczeństwa, tam działalność Kościoła jest doceniana, a na-

wet wspomagana przez jednostki władzy miejscowej. Wielu jednak urzędników, którym powierzony jest nadzór nad wspólnotami religijnymi, wyznaje stary wzorzec postępowania, polegający na nieustannym „szukaniu dziury w całym”, aby swoimi osiągnięciami na polu zwalczania „elementów antyrewolucyjnych” udowodnić swoim przełożonym jak bardzo ich działalność jest ważna, czy wręcz niezbędna do utrzymania porządku w państwie. To właśnie ci ludzie, klasa średnich urzędników, żyjących jak pasożyty na ciele Kościoła najbardziej obawiają się zmian, jakie zapewne przyniosłaby normalizacja stosunków między Pekinem a Watykanem. Biorąc to wszystko pod uwagę, a więc rodzaj wykonywanej pracy duszpasterskiej oraz kształt relacji z władzami miejscowymi na danym obszarze, księża albo wolą na razie pozostać w ukryciu, albo decydują się na ujawnienie i bierną współpracę.

W diecezjach, gdzie relacja z władzami nie układa się dobrze, księża, którzy się nie rejestrują są narażeni na prześladowanie; w każdej chwili mogą zostać złapani i aresztowani. Kara za nielegalną działalność religijną bywała i bywa różna. Powiedziano mi, że są miejsca, gdzie po złapaniu kapłana Kościoła „podziemnego” nakłaniany jest on do podpisania deklaracji o lojalności wobec władz, a jeśli odmawia, wówczas za kaucją zwalniany jest z aresztu, aż do następnego zatrzymania. Kaucję, jeżeli chcą odzyskać swego proboszcza, muszą zapłacić parafianie, co oczywiście czynią. Powiedziałbym, że jest to metoda „haraczu”. W innym rejonie Chin, na przykład tam, gdzie mieszka i pracuje trzeci kapłan, który przyjechał na nasze spotkanie, reguła postępowania z „niepoprawnym” księdzem jest inna. On sam wyznał, że w każdej chwili może być pochwycony i wysłany na trzyletni program resocjalizacji w miejscu nikomu nieznanym, gdyż nie informuje się wówczas ani rodziny, ani parafian o miejscu przebywania duszpasterza. Za dobre sprawowanie, a zwłaszcza za „skrucę” czas odosobnienia może zostać skrócony. Tych parę przykładów, które padły w czasie naszej rozmowy, to oczywiście tylko fragment bogatej rzeczywistości Kościoła katolickiego w „nowoczesnych” Chinach.

Do południa byliśmy sami, rozmawiając i dzieląc się swoimi obserwacjami, lecz już w południe przyszło nas odwiedzić paru krewnych właściciela domu oraz grupa parafian, włącznie z przedstawicielami miejscowej rady parafialnej. Korzystając z nadarzają-

cej się okazji zapytałem ich, czy pamiętają cokolwiek na temat polskiego księdza proboszcza, który przed wojną pracował w ich miejscowości. Wszyscy pamiętali jego nazwisko (oczywiście w wersji chińskiej). Najstarsza osoba wśród obecnych powiedziała, że jego ojciec należał do pierwszej grupy miejscowych katechetów, przygotowanych i przeszkolonych przez polskiego kapłana. Ktoś inny przypomniał, że pierwszą studnię z czystą wodą (której zawsze w Chinach Północnych brakuje) wykopał właśnie ksiądz-Polak, a posłużył się do tego „gałązkami drzewa” (różdżka do lokalizowania żyły wodnej); „czegoś takiego nikt nigdy wcześniej w tej okolicy nie oglądał”. Inna osoba stwierdziła, że godna podziwu jest konstrukcja i architektura kościoła przez niego zbudowanego, a jako przykład podała system wentylacyjny świątyni. W czasie prac w kościele odkryto system nawietrzający, którego wcześniej nikt nie zauważył, bo tak sprytnie był wkomponowany w uskoki ścienne. Niestety, zaniedbania okresu rewolucji kulturalnej sprawiły, że stary kościół nie nadaje się obecnie nawet do remontu i przeznaczono go do rozbiórki.

Wreszcie, przewodniczący rady parafialnej powiedział, że oprócz wybudowania kościoła w środku miasta, ksiądz-Polak zakupił dodatkowo działkę ziemi poza miastem za pieniądze przysłane z Polski, między innymi od jego krewnych, na rzecz tutejszej parafii. Ostatnio władze miejscowe postanowiły zwrócić diecezji część własności kościelnych (dokładnie mówiąc 16% ziemi) oraz zapłacić (raczej symboliczną) rekompensatę pieniężną. Mimo, że pieniędzy rządowych nie wystarczy na postawienie nowego kościoła, parafianie już zdecydowali, że wspólnymi siłami zbudują nową świątynię.

Kiedy ten temat się wyczerpał, zwróciłem się z innym pytaniem: „Czy ostatnio wydarzyło się coś ciekawego w tutejszym Kościele?”. Dla Europejczyka takie pytanie może wydawać się dziwne, jednak dla chińskiego katolika kojarzy się ono tylko z jednym – z nawróceniami. Trafiłem z pytaniem w dziesiątkę, natychmiast zaczęto mi wspólnie opowiadać historię, która miała miejsce w pobliskiej wsi.

Jeszcze niedawno było tam tylko „półtora” katolika, „półtora”, gdyż ten drugi twierdził, że wierzy w Boga, ale nie wierzy Bogu (swoją drogą, pomyślałem sobie, bardzo ciekawe wyrażenie), a obecnie jest już stu wiernych. Co się stało? Pewna mieszkanka wsi nagle zaczęła się dziwnie zachowywać, nie tylko mówiła „od

rzeczy” jak osoba chora psychicznie, ale upodobała sobie miejsce na drzewie. Najciekawszy był sposób, w jaki dostawała się na drzewo – wskakiwała na nie na wysokość paru metrów prosto z ziemi i siedziała ma wiotkich gałęziach niczym ptak. Mąż i dzieci przychodziły pod drzewo i błagali z płaczem, żeby zeszła na ziemię. Wracała do domu tylko po to, aby po jakimś czasie znów „pofrunąć” na drzewo. Niektórzy sąsiedzi kpili z niej lub żartowali, inni byli bardzo zaniepokojeni jej zachowaniem, zwłaszcza wtedy, gdy zaczęła mówić o sobie używając rodzaju męskiego. Wszyscy doszli do wniosku, że została opętana. Gdy wieści o opętanej kobiecie doszły do uszu katolików, powiadomili o tym kapłana, który osobiście udał się na miejsce tych niecodziennych wydarzeń. Kiedy ksiądz zbliżył się do chorej, z jej ust padły słowa, „że się go nie boi, i że (ksiądz) nic mu (= jej) nie zrobi”. Na to kapłan odparł: „Jesteś zwykłym, małym diabłem i szybko się z tobą uporam”, po czym się pomodlił, pokropił wodą święconą i odmówił egzorcyzm. Według świadków – a była przy tym obecna żona zdającego nam tę relację – opętana odzyskała zdrowe zmysły, nie zdawała sobie jednak sprawy i nie pamiętała niczego z tego, co się w tych dniach stało. Po tym incydencie – wygranej potyczce z diabłem – wielu mieszkańców wsi zgłosiło się do księdza, mówiąc, że chcą przyłączyć się do Kościoła katolickiego.

W południe spożyliśmy posiłek wspólnie z krewnymi gospodarzami, aktorzy pozostali w domu. Wówczas nasza gospodyni odebrała telefon, który był skierowany do mnie. Wiadomość była jasna: muszę natychmiast wracać z powrotem, bo wzywają mnie pilne sprawy. Parafianie szybko zorganizowali transport, a młode małżeństwo katolików odwiozło mnie i mojego przewodnika swoim samochodem na dworzec.

Mimo, iż moja wizyta niespodziewanie została przerwana, byłem zadowolony z tego, że odwiedziłem kolejne miejsce i kolejną wspólnotę kościelną, która w historycznych opracowaniach rządowych nazywana jest „Kościołem polskim”.

Napisane w 2006 r.

Stanisław F.

List z Papui Nowej Gwinei

Fatima Catholic Mission Station
Goilala Mountains
Listopad 2009,
początek pory deszczowej

Drodzy Przyjaciele!

Przede wszystkim, najserdeczniejsze pozdrowienia z Fatimy – katolickiej misji w sercu gór Goilala, w jednym z ostatnich zakątków Papui Nowej Gwinei odciętych kompletnie od reszty świata. Skoro piszę te słowa do Was, to znaczy, że żyję ... i mam się dobrze. I tak właśnie jest. Z Bożą pomocą przebrnąłem jakoś przez pierwsze miesiące proboszczowania i – jak żartuje z parafianami – jadę już na drugim biegu.



Zanim zacznę opowieść o ostatnich miesiącach, pragnę wpiery wyrazić moją wdzięczność za Wasze wsparcie. Nade wszystko dziękuję za modlitwę, bo bez dopływu tej duchowej energii, misja nie mogłaby się rozwijać. Dziękuję za każde westchnienie do nieba, w którym polecacie mnie i misję w Waitape Bożej opiece. Dziękuję za pamięć w listach i mailach. Maile mogę odebrać raz na parę miesięcy ... ale listy docierają w miarę regularnie. Raz dostałem ... 6 kg listów. Ale było radości i czytania ... No i dziękuję za pomoc materialną. Każdy grosz to znaczący wkład w odbudowę stacji misyjnej. Dzięki Waszej ofiarności tempo odbudowy zaskakuje wszystkich, którzy znali misję z czasów, gdy nie było tam księdza. Gdy pokazuję aktualne zdjęcia, często pytają: „A to, gdzie jest zrobione?”. „W Waitape”. „W Waitape???”. I cmokają z niedowierzania. Nie byłoby takiej reakcji, gdyby nie Wasza hojność, za którą raz jeszcze dziękuję. Bóg zapłać.

Co się dzieje w Fatimie? Oj, dzieje się ... przede wszystkim staram się odbudować system duszpasterski, który w ciągu ostatnich 20 lat bez stałej obecności księdza legł w gruzach. Udało mi się ustanowić system regularnych wizyt duszpasterskich do wszystkich wiosek, na razie w parafii Waitape.



Pozwala to wiernym, zwłaszcza starszym i chorym, mieć stały i regularny dostęp do sakramentów świętych. W każdy czwartek, wcześniej rano, pakuję plecak i ruszam w góry. Dzięki tym czwartkowym systematycznym wyprawom udało mi się w końcu doliczyć ile mam wiosek w parafii. W kwietniu myślałem, że 4 ... a teraz okazuje się, że 17. Prawdopodobnie 17. Co najmniej 17. Bo wciąż odkrywam nowe ... Jeszcze nie byłem we wszystkich. A przecież mam jeszcze 2 parafie. I to dużo większe niż Waitape. Prawdopodobnie będę potrzebował roku lub dwóch lat, żeby rzeczywiście „odkryć” wszystkie wioski w górach i w buszu. Ogrom pracy ..., który czasami mnie przeraża. „Jak jeden człowiek może to wszystko zrobić?” ... I w duszy brzmi odpowiedź: „Spoko... wystarczy Ci mojej łaski...”.

W samym Waitape, w doskonałym miejscu, tuż przy lądowisku, odzyskaliśmy niewielką katolicką posiadłość ze zrujnowanym domem. Szybko doprowadziliśmy ją do jakiegoś takiego ładu i już 13 sierpnia odbyło się tam jedno z naszych comiesięcznych nabożeństw fatimskich. Teraz, co srodę, jest tam rano Msza św., a po niej wspólna praca przy przebudowie tej ruiny na kaplicę pw. św. Wincentego a Paulo. Warto zaznaczyć, że ta przyszła kaplica znajduje się w środku tej części Waitape, która jest niemal w całości zamieszkała przez członków różnych pseudochrześcijańskich sekt. 4-metrowy krzyż, którym

w Wielki Piątek wzgardzili, stoi teraz w samym sercu Woitape. Stoi i kruszy ludzkie serca. Z sześciu sekt, jakie zastałem w Woitape, dwie już nie istnieją. Poniedziałek i wtorek to czas dla mnie na misji. Przez ostatnie 20 lat, gdy w Woitape nie było księdza cała infrastruktura dramatycznie podupadła. Niektóre budynki nadają się tylko do rozbiórki. I niektóre z nich już rozebraliśmy. Trochę desek i blachy, które udało się z nich odzyskać w stanie nadającym się do użycia przydało się do naprawy reszty. Tak dla przykładu, drewno i blachę z szop dla krów użyliśmy do przedłużenia dachu dawnego konwentu sióstr, w formę niewielkiej werandy. Było to konieczne, bo deszczówka prawie kompletnie zniszczyła jego frontową ścianę. Teraz weranda jest moim i moich gości ulubionym miejscem w czasie codziennej ulewy. Cały świat dookoła moknie, a pod werandą sucho i przytulnie.

Konwent wymaga jeszcze wiele pracy. Nie ma toalety ani prysznicza. Niektóre słupy, na których budynek jest usadowiony nie wytrzymały, budynek się zapada i rozpada. Okna się nie otwierają, a drzwi nie domykają. Czekamy na kolejną dostawę cementu z kopalni złota w Tolokumie; gdy przyleci śmigłowcem, jedną z pierwszych prac będzie zabetonowanie podstaw pod nowe słupy, a potem próba dźwignięcia całej chałupy i wyprostowania jej mniej więcej do poziomu. Gdy chata będzie miała nową solidną podstawę, będziemy mogli zająć się zrujnowanymi przez świnie i krowy toaletami i prysznicami w przyziemiu konwentu.

Z konwentem sióstr wiąże się jak dotychczas największe wyzwanie w reorganizacji parafii, jakiemu musiałem sprostać. Gdy ostatni proboszcz opuścił misję w 1990 roku, opieki nad misją podjęła się jego kucharka. Sprowadziła na misję swoich krewnych i zajęła się parafią ... w taki sposób, że po 20 latach poczuła się jej właścicielką. Kolejni biskupi mieli poważne kłopoty, by parafię „odzyskać”. W końcu, w 2009 roku udało się. Z Bożą pomocą, dyplomatycznie ale bardzo stanowczo, pożegnaliśmy się z Isabel. Do ostatniej chwili, gdy już miała w ręce parasol i klucze konwentu, wciąż próbowała wymusić ogromną pieniężną rekompensatę. Nigdy nie byłem w tak trudnej sytuacji dotyczącej spraw Kościoła i parafii. Skończyło się na oddaniu jej całego stada krów, jakie zostało po tych 20 latach, a które należało niegdyś do parafii. „Straciliśmy” 40 krów, ale za to Fatima Catholic Mission Station jest z powrotem w rękach biskupa ... Piątek i sobota to dzień wspólnej pracy przy budowie kościoła oraz ujęcia wody z małą elektrownią

wodną. W budowie nowego kościoła jesteśmy na etapie betonowania słupów, na których kościół będzie posadowiony. Budujemy kościół 15x12 metrów. Z kościołem będzie zintegrowany „hall” o takich samych wymiarach. Obecnie nie mamy wystarczająco dużego zadaszzonego miejsca na wszelkiego rodzaju aktywności parafialne, od spotkań począwszy na projekcji religijnych filmów czy nawet wspólnym posiłku skończywszy. „Parish hall” będzie takim miejscem – centrum życia wspólnotowego i społecznego w Fatimie i okolicy. W przypadku większych religijnych uroczystości, ściana dzieląca „hall” od kościoła będzie częściowo rozsuwana, powiększając przestrzeń dla uczestników celebracji. Poważnej pomocy w budowie udzieliła nam kopalnia złota w Tolokumie. Ona też jest kompletnie odcięta od świata. Wszystkie zapasy są przewożone w środek buszu wielkimi rosyjskimi śmigłowcami.

W maju udało mi się przedrzeć do kopalni. Byłem pierwszym księdzem, który dotarł do kopalni od tej strony. Wyprawa okazała się bardzo owocna. Dyrektor kopalni, Kanadyjczyk, katolik, obiecał nam pomoc: 4 tony cementu z zapasów kopalni. Pierwsza tona już dotarła. W wigilię Narodzenia NMP na łące przy misji wylądował śmigłowiec z 25 workami cementu. Wystarczyło na 2 miesiące pracy i na 2/3 słupów, na których kościół będzie posadowiony. Jeśli pozostałe 75 worków dotrze, będziemy mieć cement na słupy wszystkich budynków, które na misji chcemy odbudować i wybudować. Drewno mamy w lesie. Gwoździe i farbę ściągnie się samolotem z Port Moresby. To, co jest niezwykle, to zaangażowanie ludzi w budowę i odbudowę misji. Fatima w tym sensie stała się ewenementem w skali diecezji. Tłumy parafian, dorosłych i dzieci przychodzą do pracy. Każdy coś dłubnie, przeniesie, pomiesza ... i praca idzie naprzód. Oczywiście, życie misji to przede wszystkim wymiar duchowy. To jest mój paradygmat, na którym od początku „odbudowuję” Fatimę. „Jeśli Fatima będzie tętnić modlitwą i życiem duchowym, cała reszta też się stanie”. Powtarzam tę formułę w tej czy innej wersji prawie codziennie.

Rano, jeszcze zanim słońce zagładnie do naszej doliny, w Fatimie rozlega się dzwon. Sześć uderzeń ... szósta rano. Nie zominajmy, że ludzie w Goilala nie mają poczucia czasu, bo nie mają zegarków, więc głos „Notre Dame de Fatima” jest ich punktem odniesienia w czasie. Kilka minut później zaczynają się zjawiać pierwsze dusze na poranny pacierz i Anioł Pański.

Trochę te dusze trzęsą się z zimna, bo biednie odziane, prosto z szafasu od ogniska, słońce jeszcze za górami, a temperatura między 0°C a 5°C. Ale przychodzą, by zacząć dzień znakiem krzyża i krótką modlitwą. Gdzieś między jedną a drugą „Zdrowąską”, słońce wychodzi zza gór i wkrada się do kościoła przez małe okno. Mówię wam ... wspaniały moment w życiu Fatimy.

Po wspólnym pacierzu, czas na prywatną modlitwę. Wracamy do kościoła wieczorem na Msze św. i codzienny Różaniec. Po całym dniu ciężkiej pracy, jakże dobrze jest usiąść u stóp „Mamy” i złożyć w Jej ręce wszystkie troski. Nowością w Woi-tape są nabożeństwa fatimskie. Czujemy się odpowiedzialni za to, by przesłanie Matki Bożej dotarło do wszystkich. Na razie w skali naszej parafii, poprzez procesje różańcowe z różnych wiosek do głównej stacji misyjnej. W przyszłym roku chcemy zaangażować sąsiednie parafie, zapraszając ich na dwudniowe nabożeństwo, zapewniając im nocleg i wyżywienie. Na wezwaniu Matki Bożej z Fatimy do modlitwy różańcowej budujemy tożsamość naszej parafii. Dużą pomocą w tej katolickiej formacji są niedzielne wieczorne projekcje filmów religijnych. Po Ró-



żańcu rozwieszamy prześcieradło w prezbiterium, odpalamy niewielki generator, podłączamy sprzęt audio i video - najtańszy, jaki udało się kupić w Port Moresby ... i zaczyna się multimedialna katecheza. Kościół pęka w szwach, bo przychodzą nie tylko katolicy, ale też ci, którzy w latach „bez księdza” przeszli do sekt. Teraz wracają... wielu na razie na film, ale niektórzy też na dobre. Niestety, nie brakuje - jak to w życiu - wydarzeń smutnych i nieoczekiwanych. Takim wydarzeniem była katastrofa samolotu, którym lataliśmy do Port Moresby i z powro-

tem. Zginęła para pilotów i 11 pasażerów. Tego dnia przylecieli rano, do Waitape, wrócili do Port Moresby i podczas drugiego lotu w góry, w bardzo trudnych warunkach pogodowych rozbił się o zbocze góry. Specjalna grupa poszukiwawcza z Australii potrzebowała kilku dni zanim znalazła miejsce katastrofy w buszu. Tragedia ta bardzo mnie dotknęła, bo w marcu właśnie z tą parą pilotów przyleciałem pierwszy raz w Góry Goilala.

Poważnym ciosem dla misji był „wyczyn” nauczycieli naszej katolickiej szkoły. Z pomocą skorumpowanych urzędników ze stolicy, otworzyli bezprawnie nowe konto szkoły, przejęli rządową subwencję, rozkradli ją i przepili w Port Moresby w kilka dni. Musiałem w trybie pilnym lecieć do miasta. Nauczyciele zostali zwolnieni, a szkoła zamknięta, aż do nowego roku szkolnego. W tym sensie, ten rok dla dzieci i młodzieży w Waitape i okolicy jest stracony. Kolejny rok... i już kilkanaście takich lat. Używając wszelkich znajomości, umiejętności, prośbami i groźbami, próbuję teraz otworzyć szkołę na nowo. By się to mogło powieść, potrzebuję nowych nauczycieli, muszę odzyskać dyscyplinarną kontrolę nad nimi i realną kontrolę nad rządową subwencją, za którą normalnie kupuje się dzieciom książki, zeszyty, długopisy... wszystko.

Liczyłem, że jakimś wsparciem w odbudowie misji będzie Thomas, kandydat do naszego Zgromadzenia. Niestety, dosyć szybko „wysiadł”. Po sześciu tygodniach w górach, owszem na wysokich obrotach - muszę szczerze wyznać, musiałem go wysłać do szpitala w Port Moresby. Mieliśmy przy tym szczęście w nieszczęściu. Po jego wylocie nie dało się lądować w Waitape przez 2 tygodnie. Gdyby wtedy nie poleciał ... byłoby niewesoło. Od kilkunastu tygodni żyjemy pod presją epidemii cholery w Papui Nowej Gwinei. Jesteśmy w górach Goilala otoczeni przez cholere już ze wszystkich stron. Śmiertelne przypadki zostały oficjalnie stwierdzone już we wszystkich sąsiednich prowincjach. W Goilala jeszcze nie ... ale tylko dlatego, że nie ma kto ich stwierdzić. Cała rządowa administracja - wybrana czy mianowana - siedzi w Port Moresby i cieszy się miejskim życiem, nie przejmując się tym, co dzieje się w górach. Od jakiegoś czasu mamy w okolicy śmiertelne przypadki z objawami cholery, tak wśród dorosłych jak i dzieci. Kilkogodzinna biegunka nie do opanowania ... i śmierć z odwodnienia. Niewiele możemy pomóc, bo nawet nie mamy żadnego połączenia, żeby wezwać pomoc czy poprosić o przesłanie lekarstw.

Z tymi smutnymi wydarzeniami mieszają się radosne ... nie jestem na misji sam. Mam kilka zwierzątek. Zaczęło się od kurczaków. Aktualnie mam 3 kury i koguta. I wciąż pracuję nad dietą, która sprawi, że kury regularnie będą znosić jajka. Mam dzikiego strusia - cassovary. Przynieśli mi go, gdy miał może kilka dni. Nie jadł samodzielnie ani nie chodził. Przez pierwsze tygodnie musiałem go karmić i poić. Może dlatego teraz chodzi za mną wszędzie jak za swoją „mamą”. Rośnie jak na drożdżach ... zaczynał od dwóch truskawek dziennie, teraz wcina dziennie kilka bananów. Mam też parę cus-cus. To nocne zwierzątko wielkości kota. Doskonale się wspina wszędzie z pomocą ogona. Samica ma kieszęń na „malucha”, jak kangur. Cus-cus



śpią gdy my działamy ... i działają, gdy my śpimy. Tym sposobem Fatima jest pełna życia nawet nocą. Czasami moje zoo się powiększa o kilka zwierzątek, bardzo małych i trudnych do złapania ... Bywa, że z podróży pastoralnej przynoszę pchły. 2-3 dni polowania ... i można spać spokojnie. Wreszcie... grzyby. Ku mojemu wielkiemu miłemu zaskoczeniu odkryłem, że góry Goilala to raj dla grzybiarzy. Sezon zaczął się z pierwszymi deszczami w październiku. Parafianie zaczęli mi znosić na misję duże ilości „prawdziwków”, „opieniek”, „kokzaków”, itp. ... Piszę ich nazwy w cudzysłowie, ale często nie tylko smakują jak nasze, ale i wyglądają niemal tak samo. Trochę mnie też sezon grzybowy zaskoczył. Miałem tylko kilka słóiczek po dżemach i litr octu. Więc marynowanych w tym roku będę miał niewiele, ale za to dużo suszonych.

Byłbym zapomniał... hydro (czytaj: „hajdro”) ... czyli mała ... albo raczej „bardzo mała” elektrownia wodna. Pod jedną z walących się ruder, jakie zastałem na misji, odkryłem koło wodne. Kiedyś, jakieś 30-40 lat temu, pierwsi misjonarze mieli tam mały tartak i warsztat. Koło wodne było w dość dobrym stanie. W dużo gorszym stanie był kanał doprowadzający wodę z gór, tę samą wodę, której w stacji używamy do mycia, picia i gotowania. Kanał kiedyś kończył się zgrabnym ujęciem wody do tartaku i do misji.

Po 30 latach z ujęcia została kałuża. Z pomocą Zgromadzenia udało nam się już tę kałużę na nowo zamienić w ujęcie wody. I pracujemy już nad odbudową kanału, a na miejscu tartaku

nad małą elektrownią wodną. Różnica poziomu między ujęciem a kołem wodnym jest około 12 metrów. Z fachowych obliczeń wynika, że przy optymalnym przepływie wody, możemy na kole wodnym zamontować generator o mocy 3 kW. To niewiele, ale dla misji prawie w sam raz. I to będzie ogromny postęp w życiu misji i ogromny atut w działalności duszpasterskiej. Takie zwyczajne dla Was, a niezwykle dla nas rzeczy ... jak wieczorna Msza św., czy nabożeństwo w kościele po zachodzie słońca ... Gotowanie na kuchence elektrycznej... zamiast na ognisku. A dzieci w szkole będą mogły się uczyć co to jest „prąd” i jak on „działa”. Prąd będzie miał też na misji inne bardzo ważne zastosowanie: system łączności z resztą świata, a konkretnie z wybrzeżem i Port Moresby. Na dzisiaj jesteśmy kompletnie odcięci. Nie wiemy, co się dzieje w świecie, i – co gorsze – świat nie wie, co się dzieje u nas. I niekiedy, jak wspomniałem, ten brak łączności można przypłacić zdrowiem lub nawet życiem, i dotyczy to także samego misjonarza. Gdy z naszego hydro popłynie prąd 24 godz. na dobę, stworzy to doskonale możliwości, by się z wybrzeżem połączyć przez radio czy nawet, w nadzwyczajnych wypadkach, przez satelitę. Właśnie w tej sprawie zwracam się do Was z prośbą. Pomóżcie wyposażyć naszą misję w nadajnik i odbiornik radiowy oraz w system satelitarny. Wbrew pozorom, nie jest to bardzo kosztowny sprzęt, jednak przekraczający nasze możliwości. Zaczniemy od radia z odpowiednim masztem i anteną, tak by się włączyć w system łączności jaki mają na wybrzeżu. Może wystarczy też na talerz satelitarny i telefon ... Za każdy grosz już teraz bardzo serdecznie dziękuję!

Kończę mój list życzeniami. Mam nadzieję, że listonosz zastuka do drzwi Waszych domów jeszcze w okresie Bożego Narodzenia. Zatem, niech Nowy 2010 Rok będzie naznaczony obecnością Boga w Waszym codziennym życiu, w pracy i wypoczynku, wtedy gdy wiatr dmie w żagle, i wtedy gdy dmucha piachem w oczy. Bóg stał się Człowiekiem, by być jednym z nas, by być z nami, by być zawsze pośród nas. Czegóż więcej może pragnąć chrześcijańska dusza ... być blisko Boga. Teraz i zawsze. Tego życzę Wam i Waszym bliskim na Święta i na każdy dzień Nowego Roku.

Ksiądz Włodzimierz Małota CM

SERCE DLA DZIECI NA MADAGASKARZE



W imieniu dzieci na Madagaskarze: Bóg zapłać!

Przez cały miesiąc październik dzieci z naszej parafii podjęły zobowiązanie gromadzenia swoich drobnych oszczędności, aby podzielić się z biednymi dziećmi z Madagaskaru, gdzie pracują polscy Misjonarze św. Wincentego a Paulo. Na zakończenie wspólnej modlitwy różańcowej przyniosły swoje skarbonki, artystycznie pięknie wykonane i bardzo pomysłowe, aby ofiarować swój

dar na misję. Wszystkich skarbonek było 62, a ofiara w całości wynosiła 756\$. Nie można w tym miejscu zapomnieć o słowach wdzięczności dla ks. Jana Szylara CM oraz p. Krzysztofa Gospodarzec za uwrażliwienie dzieci na ten charytatywny cel w ramach spotkań katechetycznych. Boża łaska i modlitwa tych biednych dzieci, niech będą dla Was wszystkich, kochane dzieci nagrodą za dar chrześcijańskiej solidarności.

*Ks. Jarosław Lawrenz CM
Opiekun Wspólnoty Przyjaciół Misji*

Kleryckie Koło Misyjne wczoraj i dziś

Od początku lat dwudziestych XX wieku w seminarium Księża Misjonarzy istniało Koło Misyjne, które ma bardzo długą i bogatą tradycję. To właśnie klerycy misjonarscy przyczynili się do powstania Muzeum Historyczno-Misyjnego, które mieści się w budynku seminarium. Dzięki ich inicjatywie w latach 1928-1929 udało się zebrać ekspozycje ofiarowane z różnych stron świata. 1 listopada 1929 roku otworzono na Stradomiu pierwszą wystawę misyjną, która odniosła ogromny sukces. Ekspozycja wędrowała po całej Polsce. Było to jedno z najważniejszych wydarzeń kulturalnych w dwudziestolecu międzywojennym.

Obecnie Koło Misyjne działa w formie organizowania małych akcji informacyjnych i charytatywnych. Co roku w Tygodniu Misyjnym zapraszamy na spotkania misjonarzy, którzy przebywają w Polsce na urlopie. Poza tym organizujemy zbiórki pieniężne „Złotówka na misje”. W roku 2008 dzięki zebranych środkom pomogliśmy Siostrze Miłosierdzia pracującym wśród ubogich w Storożyńcu na Ukrainie. Siostry mogły w ten sposób zakupić dziecięcą odzież na zimę oraz leki dla osób chorych i niepełnosprawnych. W tym roku wsparliśmy dzieło na Madagaskarze. Księża misjonarze przeznaczają pieniądze na remont kaplic i kościołów w biednych wioskach malgaskich.

Przez cały rok klerycy modlą się za misjonarzy i misje. Co miesiąc prowadzone są nabożeństwa misyjne w kościele seminaryjnym, a co roku uroczyście przeżywamy Tydzień Misyjny obchodzony w całym Kościele. Poza tym zespół muzyczny Lazaryści w ramach koncertów w kościołach parafialnych i szkołach opowiada o misjach i rozdaje materiały informacyjne.

Kleryk Damian Wyżkiewicz

SPOTKANIE RODZIN MISJONARZY



W dniach 2-4 października 2009 r. rodziny naszych misjonarzy spotkały się na corocznym zjeździe. W spotkaniu, którego miejscem w tym roku był Stradom, wzięło udział 21 osób. Gościliśmy rodziny księży: Józefa Klatki, Stefana Koska, Pawła Wierzbickiego, Włodzimierza Małoty, Marka Maszkowskiego, Andrzeja Stepańczuka, Macieja Mecha, Kazimierza Bukowca, Dariusza Błaszczyka i Jana Trzopa. Spotkanie zaszczylicili swoją obecnością: Ksiądz Wizytator Arkadiusz Zakręta, Ksiądz Rektor Józef Łucyszyn oraz dwaj misjonarze przebywający na odpoczynku w Ojczyźnie: Ksiądz Józef Klatka i Ksiądz Stanisław Wnuk, którzy podzielili się z uczestnikami spotkania doświadczeniem długoletniej posługi misjonarskiej na Madagaskarze i zilustrowali swoje wystąpienia przeżroczami. Zespół „Lazaryści” sprawił miłą niespodziankę pojawiając się na spotkaniu

z propozycją wspólnego śpiewania i modlitwy. Niezwykle wzruszenie wywołało we wszystkich uczestnikach spotkania świadectwo Pani Doroty Szostak – siostrzenicy księdza Józefa Klatki. Pani Dorota w szkole, w której pracuje, a także w swojej rodzinnej parafii, organizuje spotkania propagujące ideę misyjną oraz pomoc materialną dla misji na Madagaskarze. Dzięki jej inicjatywie i zaangażowaniu młodzież szkolna zna problematykę misyjną i modli się za misje. Wspólnie z proboszczem parafii Niegowić, Pani Dorota zorganizowała pomoc, dzięki której wybudowano nowy kościół w parafii Manantenina. Uczestnicy spotkania wyrazili swoją wdzięczność i radość z możliwości takich spotkań oraz ustalili, że następne spotkanie odbędzie się za rok w Częstochowie.

ZUPEŁNIE INNE ŻYCIE

Wspomnienia z Czerwonej Wyspy



Wszystkim zainteresowanym problematyką misyjną polecamy książkę Pani Doroty Bobowskiej-Szostak: „**Zupełnie inne życie**”, wydanej przez Wydawnictwo Instytutu Teologicznego Księża Misjonarzy. Książka zawiera wspomnienia Pani Doroty z jej pobytu na Madagaskarze. Nie są to jednak tylko wspomnienia z podróży. Jest to świadectwo gorliwej animatorki sprawy misyjnej, która pokochała misje i dla nich poświęca dużo czasu wypełniając jednocześnie obowiązki żony i matki rodziny oraz pracując zawodowo. Jest to refleksja nad pracą misjonarzy, którzy opuszczają wszystko, aby udać się daleko na Czerwoną Wyspę w celu głoszenia Dobrej Nowiny o zbawieniu, dzieląc z Malgaszami ich trudy i radości. Jest to wreszcie refleksja nad życiem Malgaczy, spisana zaledwie po pierwszym zetknięciu się z Czerwoną Wyspą. Refleksja o tyle ważna, że

Pani Dorota przybliży nam cenną prawdę o Madagaskarze. Wspaniała przyroda budząca zachwyt, który jednak szybko znika w zetknięciu z biedą mieszkańców, którzy jak w większości krajów afrykańskich, byli i są skazani może jeszcze przez długie lata na życie w nędzy. Po zachwycie przyrodą i szoku na widok nędzy, przychodzi także trzecie doświadczenie – odkrycie tych wartości, o których ludzie w Europie może już zapomnieli. Na przykład, że miłość to umiejętność dzielenia się tym, co się ma najcenniejszego a nie tym, co zbywa, albo, że prawdziwa radość niekoniecznie związana jest z dobrobytem materialnym. Pani Dorota nie zatrzymała się na kontemplacji przyrody, nie zatrzymała się także na opisie nędzy, ale przeżyła także to trzecie doświadczenie. Jej wspomnienia przybliżają nam prawdę, że wspierając misje nie tylko dajemy, ale także otrzymujemy i że ludzie w krajach misyjnych przyjmując naszą pomoc mają nam w zamian coś bardzo cennego do ofiarowania. Pani Dorota daje świadectwo nie tylko tego, co wraz z wieloma przyjaciółmi misji dała Malgaszom, ale także tego, co sama od Malgasy otrzymała: *przewartościowałam mój świat...* (s. 93).

Dodajmy jeszcze, że książka powstała, aby pomóc chrześcijanom w Antsofso (diecezja Fort Dauphin) wybudować kościół. Nabywając książkę, nie tylko weźmiemy do rąk cenne narzędzie głębszego poznania misji, ale także przyczynimy się do wybudowania świątyni tam, gdzie chrześcijanie marzą o prawdziwym kościele, a nie są w stanie zrealizować swych marzeń bez pomocy.

W celu nabycia książki wystarczy skontaktować się z autorką pisząc na adres e-mail: bobosia_d@interia.pl lub dzwoniąc: tel. **602 121 193**

Fragmenty książki:

22 czerwca (niedziela)

Ks. Marek zrobił nam pobudkę wcześniej niż planowaliśmy, więc szybko wykonaliśmy poranną toaletę i spotkaliśmy się na śniadaniu. Ku mojemu zdziwieniu wszyscy towarzysze wyprawy byli bardzo grubo ubrani, w najcieplejsze rzeczy. Tego się na Madagaskarze nie spodziewaliśmy! Na szczęście tak zimno jest tylko w stolicy. Zimno, tzn. 11°C. Po śniadaniu dwoma samochodami pojechaliśmy na Mszę św. malgaską, która odbywała się na sali gimnastycznej.

Godzinę przed rozpoczęciem Mszy św. było już pełno ludzi, zwłaszcza dzieci. Zdumienie nasze było ogromne, gdy zobaczyliśmy tłumy ludzi, a jeszcze większe, podczas Eucharystii. Pięknie przygotowana była oprawa muzyczna i tańce. Msza św. była bardzo radosna i uroczysta. Podobało nam się podniosłe wprowadzenie słowa Bożego, a także procesja z darami i wspólny taniec. W Mszy św. uczestniczyli ludzie od niemowlaka do staruszka. Nie mogłam się nadziwić, że dzieci są bardzo grzeczne; nikt nie biegał, nie przeszkadzał w modlitwie i skupieniu. Na zakończenie powitano nas uroczyście, a potem ludzie podchodzili do nas i witali się, chcieli także zrobić sobie z nami zdjęcie. Najbardziej wzruszył mnie widok małego chłopca, który podszedł do nas. Był bez oka, musiał niedawno przydarzyć mu się jakiś wypadek, bo oko było jeszcze świeżo rozlane. To było straszne!!!

Msza św. trwała ok. dwóch godzin. Nikt się tutaj nie nudził, a tym bardziej nie spieszył do domu. Potem wróciliśmy na obiad. W domu tym panowała bardzo miła atmosfera, więc czuliśmy się jak u siebie.

11 lipca (piątek)

Ten wyjazd to rekolekcje mające ogromne znaczenie w moim życiu. Od tej pory przewartościowałam mój świat, nauczyłam się pokory i nabrałam dystansu do życia. Przekonałam się, że dobra materialne przesłoniły nam to, co w życiu ważne. Uwrażliwiłam swoje serce i postanowiłam, że jeszcze bardziej będę starała się organizować pomoc misjom na Madagaskarze. Efektem tych postanowień jest ów pamiętnik, który nie odda w całości tego, co zobaczyliśmy i przeżyliśmy, bo realiów życia na Czerwonej Wyspie nie da się opisać, to trzeba zobaczyć i przeżyć. Dochód z jego sprzedaży zostanie w całości przeznaczony na pomoc misjom i chociaż będzie to kropla w morzu potrzeb, naprawdę warto dołożyć swoją cegiełkę.

Papieskie Intencje Misyjne na 2010 rok

Styczeń: Aby każdy wierzący w Chrystusa uświadomił sobie, że jedność wszystkich chrześcijan stanowi konieczny warunek skutecznego głoszenia Ewangelii.

Luty: Aby Kościół, świadomy swojej tożsamości misyjnej, starał się wiernie naśladować Chrystusa i głosić Jego Ewangelię wszystkim narodom.

Marzec: Aby Kościoły w Afryce były znakiem i narzędziem pojednania oraz sprawiedliwości we wszystkich regionach kontynentu.

Kwiecień: Aby chrześcijanie prześladowani z powodu Ewangelii, dzięki mocy Ducha Świętego, wytrwali w wiernym świadectwie o miłości Boga do całej ludzkości.

Maj: Aby kapłani, zakonnice, zakonnicy oraz świeccy zaangażowani w apostołat potrafili rozbudzać entuzjazm misyjny w powierzonych im opiece wspólnotach.

Czerwiec: Aby Kościoły w Azji, które są „małą owczarnią”, otoczoną przez ludność niechrześcijańską, potrafiły głosić Ewangelię i dawać świadectwo radosnego przyłgnięcia do Chrystusa.

Lipiec: Aby chrześcijanie wszędzie, a zwłaszcza w wielkich ośrodkach miejskich, starali się wносить istotny wkład w szerzenie kultury, sprawiedliwości, solidarności i pokoju.

Sierpień: Aby Kościół był „domem” wszystkich i z gotowością otwierał drzwi tym, których dyskryminacja rasowa i religijna, głód i wojny zmuszają do emigrowania do innych krajów.

Wrzesień: Aby dzięki otwarciu serc na miłość udało się położyć kres licznym wojnom i konfliktom na świecie, powodującym rozlew krwi.

Październik: Aby obchody Światowego Dnia Misyjnego stały się okazją pozwalającą zrozumieć, że zadanie głoszenia Chrystusa stanowi konieczną i niezbywalną posługę, którą zgodnie ze swoim powołaniem Kościół pełni dla dobra ludzkości.

Listopad: Aby Kościoły Ameryki Łacińskiej dalej prowadziły misję kontynentalną, której inicjatorami są tamtejsi biskupi, wiążąc ją z powszechnym zadaniem misyjnym ludu Bożego.

Grudzień: Aby narody świata otwarły drzwi Chrystusowi oraz Jego Ewangelii pokoju, braterstwa i sprawiedliwości.

POMOC MATERIALNA MISJOM

Działalność misyjna prowadzona jest najczęściej wśród ludów i narodów, które znajdują się w trudnych warunkach materialnych. Pomoc materialna służy utrzymaniu i rozwojowi dzieła misyjnego. Bez niej, niemożliwe byłoby utrzymanie, kształcenie misjonarzy, katechistów, seminarzystów, funkcjonowanie szkół, szpitali, wydawanie pism katolickich, katechizmów, modlitewników. Młode Kościoły nie są od razu w pełni samodzielne i bez pomocy z zewnątrz nie mogą się skutecznie rozwijać.

Na wzór Chrystusa, który troszczył się o to, aby jego uczniowie oraz tłumy słuchające Go mieli co jeść, misjonarze nie pozostają obojętni na nędzę, która ich otacza. Chcieliby pomóc przezwyciężyć głód, analfabetyzm, zapewnić opiekę medyczną itp. Dlatego każda pomoc materialna, którą otrzymują od przyjaciół misji jest dla nich cennym świadectwem miłości bliźniego i dodaje sił do pracy. Pomoc materialna jest cenna w każdym wymiarze. Zarówno w tym zapewniającym misjonarzowi na co dzień środki do życia, jak i w tym pozwalającym realizować projekty, które z kolei obejmują różne dziedziny życia takie jak: współfinansowanie budowy kościołów i kaplic, prowadzenie szeroko zakrojonej formacji katechistów, nauczycieli, animatorów wspólnot podstawowych, wspieranie inicjatyw ludzi, którzy chcą powstania w ich środowiskach szkół, szpitali, wybudowania dróg dojazdowych, ogarnięcie opieką dzieci sierot itp. W przesyłanych do nas listach misjonarze informują o ich potrzebach, czy projektach które chcieliby zrealizować.

Ci, którzy pragną wesprzeć materialnie dzieło misyjne naszych misjonarzy na Madagaskarze, w Kongo, w Hondurasie, w Chinach, w Kazachstanie, w Papui Nowej Gwinei, w Portoryko, a także za naszą wschodnią granicą na Białorusi i Ukrainie mogą:

- Przesłać na konto sekretariatu dobrowolną ofiarę z przeznaczeniem dla konkretnego misjonarza, czy na realizację konkretnego dzieła, albo po prostu zaznaczając, że jest to ofiara na misję.
- Zamówić: «Wiadomości misyjne» – informator misyjny drukowany, który zostanie przesłany drogą pocztową, a ofiara przesłana po jego otrzymaniu zostanie również przeznaczona na cele misyjne.
- Zamówić Msze Święte, które zostaną odprawione przez misjonarzy.



PROJEKT ZAKUPU MOTOCYKLA DLA KSIĘDZA RAFAŁA BRUKARCZYKA - MISJONARZA W HONDURASIE

W poprzednim numerze «Wiadomości Misyjnych» wyraziliśmy pragnienie zebrania środków na zakup motocykla dla księdza Rafała Brukarczyka, który pełni posługę misyjną w terenie górzystym, bardzo trudno dostępnym. Ksiądz Rafał wyraził swoją radość z naszego projektu podkreślając, że motocykl będzie mu bardzo przydatny, aby mógł dotrzeć do wszystkich wspólnot swojej rozległej parafii. Dobry terenowy motocykl w Hondurasie kosztuje 5000 \$.

Można wesprzeć projekt zakupu motocykla dla Księdza Rafała, przesyłając na konto bankowe sekretariatu dowolną ofiarę z zaznaczeniem: «motocykl dla księdza Rafała».



Bank PEKAO SA: 31 1240 4533 1111 0000 5433 2487
SWIFT CODE (dla wpłat z zagranicy): PKOPPLPW



AFRYKA



AZJA